№ 49. Warszawa, dnia 21 Listopada (3 Grudnia) 1887 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

POGADANKA

o wypadkach jakie mogą sprowadzić zagładę globu ziemskiego.

STREŚCIŁA

Ludwika Życka,

(według Kosmogonii Richarda i Końca świata Majewskiego.)

(Dalszy ciąg.)

VIII.

Powierzchnia kuli ziemskiej wytrzymuje bombardowanie wielkiej ilości brył ciemnych, obłamków różnych planet, które przyciągane siłą atrakcyjną spadają z wielkiej wysokości.

Są to tak zwane grady kamieni, lub deszcze ogniste, przez lud dawno spostrzegane, a w ostatnich czasach i przez naukę badane. Nadano im nazwę *aerolitów* albo *uranolitów*.

W roku 1803, we Francyi w Aigles, spadło naraz parę tysięcy kamieni i Akademia paryzka cały ten fakt zbadała dostatecznie.

Na Syberyi koło Krasnojarska, znaleziono bryłę żelaza ważącą 1600 funtów, co do której mieszkańcy zachowali pamięć, że spadła z nieba. W roku 1847, mieszkańcy Braunau w Czechach, byli świadkami zjawiska zajmującego.

Mała, czarna chmurka zaczęła wyrzucać z siebie błyskawice i żarzyć się a równocześnie dwa ogniste paski spłynęły od niej ku ziemi. Po upływie sześciu godzin, znaleziono w ziemi otwór na półtora łokcia głęboki, w którym znajdował się kamień tak gorący, że go ani dotknąć ani wyjąć nie można było. Masa ta ważyła 42 funty.

Do najdawniejszych przechowywanych do dziś kamieni niebieskich, należy aerolit spadły w Alzacyi w 1492 roku, którego massa ważąca 270 funtów zaryła się w ziemię na 3 stopy głęboko. Cesarz Maksymilian I polecił przechowywać go w kościele miejscowym.

W Britisch-Muzeum przechowuje się uranolit ważący 9,250 funtów.

Niedaleko Rio de la Plata w południowej Ameryce spadł uranolit ważący 40,000 funtów, przy odgłosie i blasku słyszanym i widzianym z daleka. W Anglii z żelaza meteorycznego, pochodzącego ze spadłych brył, wyrabiają klingi sztyletów, a w Azyi środkowej robią zeń miecze i wszelką białą broń.

Ponieważ aerolity spadają na całej powierzchni kuli ziemskiej, trudno obliczyć na pewno ich ilość, wszakże astronomowie podają ją rocznie na przeszło 700 sztuk.

Zważywszy, że te ciała spadają z wielką szybkością, gdyż robią kilka mil na sekundę, wypadałoby że muszą one roztrzaskać się na drobny pył; a jednak bywały przykłady, że taki grad kamieni nie przebił nawet powłoki śniegowej.

Pochodzi to ztąd, że spadający meteoryt wpadając w atmosferę ziemską, spotyka opór powietrza i roztrzaskuje się pierwej nim dobieży do powierzchni ziemi. Powietrze zaś pchnięte przezeń nie ma czasu rozsunąć się na boki, tylko się pod nim zgęszcza i dlatego niedopuszcza go do ziemi z tą samą chyżością. Bywa, że czasem po takiem zjawisku, oprócz głównego huku z rozpęknięcia aerolitu, słychać jeszcze szelest lub grzmot przedłużony, trwający nieraz kilkanaście minut.

Pochodzi to z szybkiego wpadania powietrza do próżni jaką po sobie zostawia spadły kamień.

Widzimy więc, że ziemia ma swój pancerz, otaczający ją wokoło, składający się z powietrza, który ją chroni, zatrzymując i odbijając pociski.

W Indyach spadł kiedyś aerolit, który rozbito natychmiast po spadnięciu i przekonano się, że mimo gorącej powierzchni, rozpalonej przez tar-

cie, wnętrze jego było zimne, co dowodzi, że w przestrzeni panuje nizka temperatura. Tyle ciał niebieskich kończy swój żywot rozsypując się na grady kamieni i pył kosmiczny, że tylko niewielka cząsteczka tych aerolitów spada na ziemię. Mnóstwo ich przelatuje tylko przez naszą atmosferę. Jeden obserwator przez godzinę naliczył w jednej nieba miejscowości 10 gwiazd spadających, co według obliczeń wynosi do 10 milionów dziennie.

Bywały takim sposobem utworzone sztuczne zaćmienia słońca; zimno niezwykłe w lecie także pochodzi od zasłonięcia części słońca, przez spadające meteoryty.

Ztąd widzimy, że wszechświat ciągle się przetwarza, jedne światy się rujnują, inne się tworzą, a po nad tą całą bezdnią ruchów, świateł i istnień jest *Ten*, który to wszystko stworzył i tem wszystkiem kieruje.

(*Dokończenie nastąpi.*)

DYM.

Dym kłębami białemi,
Pędzi chyżo do góry...
— Gdzie tak lecisz od ziemi?
— Hen! daleko za chmury...
— Nie śpiesz, nie śpiesz do nieba,
Białoskrzydły mój wieszczu,
Wszak powrócić potrzeba
Z kroplą rosy lub deszczu!
— Czy powrócę? Być może!
Wolne mgnienie chcę schwytać
I promienne tam zorze
Śród błękitów powitać...

Wł. T.

FACYENDA ŁEB NA ŁEB.

(SZKIC Z PRZESZŁOŚCI NIEODLEGŁEJ.)

PRZEZ

Aleksandra Półkozica.

(Dalszy ciąg.)

A! kochany panie Janie! Drogi mój chłopcze! Przecież zjawiłeś się nareszcie! — zawołał pan Roch, ściskając serdecznie wpuszczonego doń nakoniec gościa.

I dobrze uczynił były dziedzic Bykówki, witając tak głośno i tak kordyalnie, byłego swego dzierżawcę i sąsiada, albowiem Jan tylko po głosie poznał dawniejszego pana Rocha, przeistoczonego teraz najzupełniej, choć może powierzchownie tylko.

Metamorfoza była istotnie rażąca!

Przedewszystkiem, nowokreowany obywatel miasta Warszawy, snać za namową żony, poddał się codziennym operacyom, dokonywanym na jego głowie i na twarzy, przez ugodzonego miesięcznie, reprezentanta jednego z *Salonów*, w których golą, strzygą, fryzują i... farbują skrupulatnych pacyentów... mody.

Otóż ów przedstawiciel „Salonu”, zaraz na wstępie zadecydował, iż nowy jego klijent, powinien co rano fryzować i pomadować włosy, jako „nieposłuszne” wielce, golić zaś brodę i wąsy z pozostawieniem samych tylko faworytów rozstrzępionych szeroko po obu stronach policzków, dopaszonych pięknie na bykowieckim chlebie i na kawie z sucharkami, wypieku pani Trajkowskiej.

Gdy jednakże szanowny obywatel zaprotestował silnie przeciwko temu systematowi *anglizowania* go, zaproponowano mu lecz już w formie *ultimatum*, system paryzki, któremu acz niechętnie, poddać się jednak musiał.

Nosił więc odtąd włosy postrzyżone krótko *à la* malkontent, według dosłownego wyrażenia fryzyera i golił twarz całą z pozostawieniem tylko spiczastej na brodzie *rojalki* i wąsów, które za pomocą pomady węgierskiej i kleszczowatych palców fryzyera, prezentowały się, jak dwa szydła, sterczące po obu stronach twarzy.

Ponieważ nietylko sam egzekutor tej metamorfozy lecz także pani Agata i Józia a w dodatku i pan Brodoszewski, utrzymywali zgodnie że pan Roch stał się teraz podobnym, jak dwie krople wody do Napoleona III, który pomimo świeżego wówczas upadku pod Sedanem, był zawsze jednak ulubieńcem pana Rocha, jako jednego z najwydatniejszych bonapartystów w całym powiecie Węgrowskim, przeto poczciwy ex-hreczkosiej, rad nie rad, zgodził się jednak na ponoszenie codziennych mąk zadawanych mu: brzytwą, szczoteczkami, żelazkiem i palcami reprezentanta „Salonu” a nadto jeszcze, również za namową pani Agaty, zmienił szlafrok dostatni, ciepły, na kusą, jasno szaraczkową „bonżurkę”, z zielonemi „yacht-club” pętlicami i na pąsowo *à la ligne*, szarawary ściągnięte w pasie sznurem z kutasami.

Oczywiście, że tak przeistoczonego pana Bujalskiego z Dzięciołów, trudno było rozpoznać, zwłaszcza na pierwszy rzut oka. Niedziw przeto, że Jan z pewnem zdumieniem, zakłopotany widocznie i jakby, zawstydzony nawet, spoglądał na poważnego w dawniejszej prostocie swojej, ojca Rózi, który obecnie w kusym ubiorze, ogolony i podczerniony... dziwnie mu jakoś „sfertyczniał”.

Snać pan Roch spostrzegł niemy kłopot swojego gościa, albowiem mówił dalej z uśmiechem, wysilonym nieco:

— Widzę, że przyglądasz się mojej postawie i patrzysz na mnie jak na raroga... Ba! i cóż chcesz? Człowiek tu w mieście, musi żyć w całkiem odmiennych warunkach... i nietylko zwyczajami i mową ale nawet ubiorem i całą powierzchownością musi stosować się do innych, w sferze których obraca się ciągle.

Z początku, co prawda, wszystko to i dziwi i gniewa nawet... Ale powoli, z czasem, człowiek przywyka i żyje na sposób nowy. Ot! jak ja, naprzykład.

— Jeżeli szanowny pan zadowolony z nowego trybu życia — ozwał się Jan — to i chwała Bogu!

— Ba! czym zadowolony? To całkiem inne pytanie! Ale... siadajże, kochany panie Janie i zapal... ot, tego modnego papierosa. Bo — dodał z westchnieniem — fajeczka tu wyszła z mody od dawna. Otóż, wracając do owego zadowolenia, powiem ci, że o to nikt mnie tu i nie zapytał nawet. Sam jednak widzę, żem schudł dyablo, na tym warszawskim chlebie. Przypatrz mi się tylko...

— Czyliżby zdrowie pańskie... — zaczął Jan troskliwie.

— At! zdrowie jest, Bogu dzieki i apetyt także. Ale powiadam ci, że jeśli tak dłużej potrwa, to jedno i drugie muszą wziąć dyabli koniecznie!

Bo, jakże chcesz, mój chłopcze? Człowiek nie dośpi tu nigdy, za jakiemiś tam spektaklami i wieczorami, u siebie lub w gościnie. Nie zje też nigdy swobodnie, obciśnięty w paradne szaty, a wreszcie też i ruchu nie ma, zasadzony co wieczór do wista lub preferansa... Czy wiesz, mój panie Janie, że nieraz, gdy sobie wspomnę, jak to tam na wsi człowiek oddychał, przestrono, jak sobie chadzał zamaszyście po bożym świecie lub wysiadywał w ganku z fajeczką... to, dalibóg radbym się ztąd urwać i lecieć do was ptakiem.

No, ale moje panie... zadowolone są z życia miejskiego. Oczywiście, same bawiąc się rade wmawiają i we mnie także, że mi teraz lepiej niż bywało...

— Bo, może i lepiej — przerwał Jan, ożywiony wzmianką o paniach.

— Że im tu lepiej, bardzo wierzę. Bo kobieta, mój chłopcze, żadna zgoła spokoju w życiu nie lubi, chyba że już sto lat przeżyje! Jej trzeba i pokazać się ludziom i pochwalić się strojem i podobać buzią... no i wiercić się wszędzie gdzie tłumno. Najwątlejsza z pozoru, zdoła ci, bratku, wytrzymać kilkanaście godzin na dobę, obciśnięta i obszyta w swoim męczeńskim stroju; gotowa nie jeść i nie pić, dusić się w ścisku i w gorącu, lub drżeć na zimnie, byleby tylko pokazać się koniecznie tam, gdzie bywa świat modny. At! powiem ci, kochany panie Janie, że teraz gdy nie mam nic do roboty, filozofuję sobie czasem... a myśląc niekiedy, o tem że świat nazywa kobietę płcią słabą, śmieję się grubo z takiego niesprawiedliwego przydomku. Boć przecie rzecz oczywista, że najbardziej zabartowany, najsilniejszy mężczyzna, parobek nawet! nie wytrzymałby tego co potrafi znieść najdelikatniejsza kobieta z tego modnego świata.

Powstał z krzesła, przeszedł się po pokoju a potem zatrzymując się przed gościem i kładąc mu ręce na obu ramionach, dodał:

— Im tu lepiej może, ale mnie, co widzę dalej trochę... co wiem, że z dziesięciu tysięcy rubli wziętych od referendarza za inwentarz, wyszastało się już połowę prawie, zaledwie rozgościwszy się tutaj: mnie, co wiem, że niebawem pewnie trzeba będzie sypnąć posag dziewczętom a potem i Kostusia ustalić jakoś także...

Pan Roch mówiąc tak swobodnie o wyposażeniu córek, snać zapomniał, że jednę z nich, acz warunkowo przyrzekł był oddać Janowi, a może była to tylko strategia ojcowska, pozująca na zapomnienie tego o czem zapomnieć pragnął.

W każdym razie Jan uczuł boleśnie ten okres w mowie ojca Rózi, zmieszał się nawet i dopiero po pewnej pauzie rzekł:

— A przecież, dochód z kamienicy, powinienby wystarczyć na bieżące wydatki.

— Trafiłeś, jak kulą w płot! — zawołał Roch żywo. — A! — dodał odjąwszy ręce z ramion Jana i wznosząc je do góry. — Wykierowali mnie pięknie!

— Jakto? Więc anszlag był fałszywy?

— Anszlag anszlagiem, ale w nim zapisali ceny mieszkań podwyższone tak bardzo, że skoro je zakomunikowałem lokatorom, to połowa z nich zostać dalej niechciała i ot teraz, będę miał pewnie

mnóstwo mieszkań pustych od przyszłego kwartału.

— A jakże miewają się panie? — zapytał Jan, któremu lamentacye pana Rocha nie mogły zasłonić postaci Rózi, rysującej się wciąż w pamięci. — Czy zdrowe i czy wolno mi będzie złożyć im moje uszanowanie?

— Oho! widzę że się już także po warszawsku wyrażasz... A, złożysz uszanowanie, złożysz, mój chłopcze. Tylko nie zaraz jeszcze — dodał spoglądając na skazówki stojącego na biurku zegaru. — One bo, wstają bardzo późno... A raczej, źle mówię, bo właściwie wstają bardzo rano, teraz pod czas sezonu wód mineralnych. Lecz skoro tylko wrócą z ogrodu, kładą się spać *da capo*.

— Więc... panie leczą się wodami... Czyż słabe?

— Gdzie tam! Zdrowe jak ryby, bratku. Lecz ponieważ moda nakazuje w tej porze roku albo jechać do wód za granicę, lub przynajmniej, *au pis allez*, jak mówi pan Wiktor, pić to paskudztwo w zakładzie urzędowym w ogrodzie Saskim, więc tedy jejmość moja, jako dobra matka, wykoncypowała sobie, wraz z doktorem, jakąś tam dolegliwość i pija coś takiego, co pewnie ani pomódz ani zaszkodzić nie może.

Oczywiście, że obie córki towarzyszą matce w tym mineralnym spacerze, choćby dlatego tylko, żeby pokazać się w modnych negliżach. Ba! Jejmość chciała nawet, żebym i ja także fyrtał się z niemi... Ale już na to stanąłem kozłem upartym i pokazałem, że gdy chcę mam swoją wolę...

— Tylkoż ty, kochany panie Janie — dodał po chwili — nie zdradź mnie aby i skoro zobaczysz moją żonę, nie śmiej powątpiewać o jej mineralnej chorobie... bo byś mnie i siebie zgubił z kretesem, bratku!

Jan uśmiechnął się mimowoli i rzekł:

— Ani pisnę! szanowny panie, przysięgam. Lecz — dodał jakby przypomniawszy coś sobie — może pan będzie łaskaw polecić komuś ze służby, ażeby wyszedł przed dom i wyjął tam z dorożki koszyk, w którym przywiozłem kuropatwy i bekasy.

— A! dziękujemy ci za *gościniec*, kochany chłopcze. Hej! Stefanie! — rzekł do przybyłego na odgłos dzwonka lokaja. — Idź, wyjmij z dorożki, którą ten pan przyjechał, koszyk ze zwierzyną i oddaj do kuchni.

— A zarazem, bądź tak grzeczny i odpraw dorożkarza — dodał Jan podając mu pieniądze.

— No, spodziewam się, kochany panie Janie — rzekł pan Roch, przeglądając się w lustrze — że zostaniesz dziś u nas na obiedzie, a wieczorem... ot! wieczorem to już nie wiem czy moje panie będą widzialne... O ile pomnę, wybierały się do pani senatorowej, na jej letnie mieszkanie. Zresztą, zobaczymy. Tymczasem powiedz mi coś z naszych wiejskich nowości. Co porabia mój następca, referendarz? Jak mu tam idzie gospodarka i czy w niej zagustował przecie? Musisz zapewne widywać go często, raz, jako sąsiad najbliższy, powtóre, jako dzierżawca. A propos dzierżawy... czy myślisz dalej trzymać Dzięcioły?

— O! w Dzięciołach to już zostanę pewnie długo — rzekł Jan z uśmiechem — bo nawet wlazłem tam już na hypotekę.

— A to jakim sposobem? Żartujesz chyba...

— Bynajmniej! Trafiło się tak, że referendarz potrzebował na gwałt gotówki i to sporo, bo aż dwanaście tysięcy rubli. Hersz i Lejbka, którzy nowemu dziedzicowi faktorują gorliwie... doradzili ażeby dał w zastaw Dzięcioły, to oni mu pieniądze znajdą. Ale... jak to oni... chcieli za sam procent tylko trzymać folwark dopóty dopóki kapitału nie odbiorą.

— A to kanalie! Przecież ty nam płaciłeś z Dzięciołów dwa tysiące rubli rocznie...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Seweryne Duchińską.

(Dalszy ciąg.)

Powieść Zoli *La Terre* (Ziemia) ogólne wywołała tu oburzenie; głos powszechny powstaje na autora, że z najobrzydliwszej strony przedstawił stan włościański. Zupełną sprzeczność z powieściopisarzem stanowią tu malarze rodzajowi, którzy od lat kilkunastu utworzyli we Francyi znakomitą szkołę ludową. Utorował im drogę zmarły Franciszek Millet, urodzony w chacie normandzkiej, obznajmiony z pracą rolniczą, malował z całą prawdą oraczy, pastuszków i prządki wiejskie; miłość i poszanowanie ludu przekazał swym uczniom. Kierunek szkoły podjęli po nim dwaj mistrze pędzla Juljusz Breton i Shermitte, utwory ich podziwialiśmy w tym roku na wystawie. Breton w dwóch obrazkach przedstawił koniec dziennej pracy: jeden pokazuje, przy czerwonym blasku zachodzącego słońca, krzepkie normandki, zajęte kopaniem kartofli sypiąc je w wielkie wory i pomagając sobie nawzajem. Druga scena różni się kolorytem: słońce zaszło, miesiąc srebrnym sierpem błysnął na niebie, robotnice odchodzą z pola. Obrazki te, niewielkich rozmiarów, nabył jakiś bogacz amerykański za 160,000 franków. Z równą prawdą, z równą prostotą Shermitte przedstawił sianożęcie. Ileż to poezyi w tych śmiałych rzutach pędzla, doskonale artysta trzyma się w granicach jakie sobie zakreślił, równie daleki od brutalnego realizmu, jak od ckliwej sielankowości. Słońce pali żarem południowym, kosarze spoczywają na łące.

Na pierwszym planie stary wieśniak naostrza kosę; dalej widzimy krzepką parę w pełnej sile dojrzałego wieku, przed nimi stoi małe dziewczątko z grabiami. Twarze ich ogorzałe, pot tryska wszystkim z czoła, ale praca zbytecznie ich nie nuży; w postawie starca głęboki spokój, w oku młodych pogoda, w uśmiechu dziecka radość. Trzy pokolenia oddane przewybornie.

Obaj malarze znają lud wiejski stokroć lepiej niż Zola, zżyli się z nim od lat najmłodszych. Breton zamieszkał stale w wiosce normandzkiej, prace rolnicze, obrzędy i zwyczaje ludowe, dostarczają mu wątku do coraz nowych utworów, któremi zdobi co rok tutejsze wystawy. Młodszy od niego Shermitte tą samą poszedł drogą. I on większą część roku przebywa w wiosce nad Marną, gdzie się urodził, gdzie ojciec jego był nauczycielem, gdzie małem dzieckiem pląsał z gromadką chłopiąt wiejskich.

Co wiosna też wraca do towarzyszów, którzy wyrośli na krzepkich robotników i gospodarzy, z miłością maluje ich przy żniwie, sianożęciu i innych pracach rolniczych. Sam też krzepki i wesół, umie dopatrzyć i oddać swobodę towarzyszącą pracy.

Widzieliśmy w tych dniach całą seryę jego rysunków, wykonanych do dzieła Andrzeja Theuriet pod tytułem: *La vie rustique* (Życie wiejskie). Jeden obrazek pokazuje trzech silnych robotników, jak na skraju lasu walą olbrzymią sosnę. W oddaleniu widać rozrzucone chaty, z pośród nich wybiega wieżyczka starego kościoła. Drugi obrazek wprowadza nas do izby oświetlonej łuczywem; pięć kobiet przędzie na kołowrotkach, mała dziewczynka przytulona do kolan babki, tka pończoszkę na drutach, pod jej tkliwem okiem.

Dzieło Andrzeja Theuriet z rycinami Shermitta, ukaże się w samą porę, da poznać lud w świetle prawdziwem, dalekim od obrzydliwego cynizmu z jakim odmalował go Zola. Powieść „Ziemia", zagrzęzłego w bagnie realisty, tę jedną przyniosła korzyść, że wielu pisarzy słusznie oburzonych na potwarcę, zabrało się skrzętnie do gruntownych badań nad ludem wieśniaczym. Czytaliśmy już kilka rozpraw, lecz te nas nie zadawalniają, wytworni Paryżanie, broniąc lud od zarzutów Zoli, pokazują przecież w wieśniaku, gburowatego prostaka i samoluba. Niechby tylko chcieli wczytać się w pieśni ludu, pełne szczerego uczucia i rzewnej poezyi, zmieniliby niewczesne sądy swoje.

Że lud nie jest wolnym od samolubstwa i innych wad wspólnych wszystkiem warstwom społecznem, to nieulega wątpliwości, ale jakże je hojnie wynagradza głęboką wiarą religijną, poszanowaniem tradycyi, miłością swej grzędy i domowego ogniska. Ten to płomień domowy prostaczków, odmalował Wincenty Pol pełnem znaczenia czterowierszem:

I z tego ognia ma się rozejść ciepło,
Po wszystkiej ziemi, gdy zamieć przeminie,
I przy tym ciepłym, domowym kominie,
Ma się znów ogrzać, co w życiu zakrzepło!

(Dokończenie nastąpi.)

KATARZYNA LEVALLIER.

PRZEZ

Edwarda Delpit,

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Szara mgła nie dozwalała dobrze rozeznać przedmiotów. Domy przedmieścia przybierały niepewne, fantastyczne kształty; na łąkach i nad brzegami strumieni wznosiły się gęste opary, cała natura spoczywała w ciężkim, letargicznym śnie zimowym.

Spokój i jednostajność przesuwających się przed oczami krajobrazów, uspokoiły wzburzenie Katarzyny. Przymknęła oczy i usiłowała nie myśleć o ni-

czem. Znużona, wyczerpana, usnęła wkrótce ukołysana jednostajnym ruchem jazdy.

Jak długo spała nie potrafiłaby tego sama określić; nagle ocknął ją ze snu głos konduktora:

— Dijon. Dwadzieścia pięć minut przystanku.

Noc już zapadła, latarnie gazowe świeciły wśród mgły niepewnem, żółtawem światłem. Katarzyna otworzyła okno, aby trochę świeżem odetchnąć powietrzem, lecz chłód wieczorny przeniknął ją dreszczem.

Cofnęła się chcąc zamknąć szybę, lecz w tej chwili spostrzegła jakiegoś mężczyznę, który otulony w futro przesunął się o kilka kroków od niej. Przy świetle latarni poznała w nim Lucyana.

Nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, wyskoczyła z wagonu i pociągnąwszy go za rękaw, rzekła krótkim, urywanym głosem:

— Na to nie pozwolę nigdy!... Zabraniam ci postępować ze mną w ten sposób!...

— Katarzyno!

— Śledzisz mnie, niewolno mi więc ruszyć się z domu?... Zamiast ci ufać, mamże się ciebie lękać?...

— Przysięgam ci... nie wiedziałem o twojem wyjeździe.

— Zkądże więc się tu wziąłeś?

— Pozwól mi pytaniem odpowiedzieć na pytanie, a ciebie co tu sprowadza, Katarzyno?

— Ja chcę się ukarać, jest to moim obowiązkiem. Jeżeli usiłowałbyś przeszkodzić mi w jego dopełnieniu, postępek twój nazwałabym podłością!

Lucyan milczał; zajęty jedną wyłącznie myślą, może nie słyszał albo nie rozumiał słów Katarzyny.

Płomiennym wzrokiem obejmował postać młodej kobiety. Wszystkie jego szlachetne postanowienia zachwiały się na widok ukochanej i osamotnionej w tej chwili istoty.

Chciał ją porwać w ramiona i uciec gdzie daleko, aby w ciszy i samotności używać zakazanego szczęścia i poić się nadziemską rozkoszą.

— Słuchaj Katarzyno — rzekł — fatalność czy przeznaczenie popycha nas ku sobie. Postanowiłem oddalić się od ciebie a właśnie spotykam cię na mej drodze, ty chciałaś mnie również unikać a znajdujesz mnie nadspodziewanie prędko. Sam Bóg sprzyja naszej miłości...

Katarzyna oparła drżącą rękę na jego ramieniu...

— Jadę do matki — rzekła — chcę przy niej zapomnieć o teraźniejszości...

— Zapomnieć!... Dlaczego?

— Obowiązek mi to nakazuje, lecz potrzebuję dużo odwagi Lucyanie, czy chcesz mi dopomódz w tem dobrem postanowieniu?

— Żądasz abym powrócił do Paryża?

— Nieinaczej, mój przyjacielu.

— I zabraniasz mi jechać za sobą?

— Nietylko zabraniam ale błagam cię o to...

— A jeśli ja nie czuję w sobie dość siły, aby ci być posłusznym?

Młoda kobieta schyliła głowę a dwie grube łzy stoczyły się zwolna po wybladłej jej twarzy.

— Odmawiasz mi, Lucyanie — szepnęła—a jednak pierwszy to raz dopiero proszę cię o dowód przywiązania.

— Przywiązania! — powtórzył Borrèze z goryczą a po krótkiej chwili milczenia dodał:

— Masz słuszność, życie moje i bez tego jest ciągłą ofiarą.

— A więc? — spytała go trwożnie.

— Żegnam cię Katarzyno — rzekł stłumionym głosem — bądź szczęśliwą.

Młoda kobieta pożegnała go skinieniem ręki i szybko wskoczyła do wagonu.

Lucyan nie śmiał podążyć za nią, poczucie honoru i wola Katarzyny przykuły go na miejscu. Stał nieruchomy, osłupiałym wzrokiem ścigając pociąg, który drgnąwszy zwolna pędził coraz szybciej i wkrótce znikł w ciemnościach nocy.

Pani Maleyra z radością powitała córkę. Ściskała i całowała ją naprzemian i żartowała wesoło z lenistwa Maksyma, któremu niechciało się ruszyć z domu lub też ubolewała nad właścicielami fabryk, którzy jak niewolnicy muszą pilnować swych obowiązków.

Wesołość jej była trochę nienaturalną, lecz poczciwa kobieta chciała ubarwić przed mężem nagły przyjazd córki. Pan Maleyra w istocie wiele był słabszym tego roku i doktorzy kazali mu unikać wszelkich wzruszeń.

Przeczucie ostrzegło panią Maleyra, że Katarzyna nie po to tylko przyjechała z Paryża aby uściskać rodziców, lecz że musiała mieć ważniejszy do tego powód.

Obejście i zachowanie się Katarzyny potwierdziło powyższe domysły. Pochmurna i małomówna przyjmowała ozięble czułość i pieszczoty matki. Pani Maleyra lękała się, aby mąż tego nie dostrzegł.

Pod pozorem znużenia odprowadziła wprędce córkę do przeznaczonego dla niej pokoju. Pilno jej było porozmawiać z nią sam na sam. Odprawiwszy pokojówkę, pani Maleyra przyciągnęła Katarzynę w objęcia.

— Powiedz mi teraz wszystko — zaczęła — powiedz czy mogę uściskać cię serdecznie!

— O! możesz to uczynić, kochana mamo!

— Nie wahałaś się nad spełnieniem ofiary, Kasiu, to ślicznie z twojej strony... Ale po co przyjechałaś tutaj? Nierozumiem tego, wytłomacz że się jaśniej...

Katarzyna zarzuciła matce ręce na szyję i przytulając się do niej jak wtedy, gdy była małą dzieciną, opowiedziała jej całą prawdę, dodając w końcu:

— Nie rozłączajmy się już teraz nigdy mamo!

— Pragnęłabym tego z całej duszy, ale wiesz dobrze, moje dziecię, że to niepodobieństwo. Ty musisz żyć obok Maksyma, obowiązkiem zaś moim jest pielęgnować tego biednego ojca. Zresztą to nie doprowadziłoby cię do niczego, jedynym dla ciebie środkiem ratunku jest odpędzić raz na zawsze Lucyana...

— Matko!

— Zaprzeczasz mi? Ależ zastanów się, moje dziecię, że prędzej czy później przyjść musi do tej ostateczności. Nie bądźże przez pół odważną. Chceszże znowu narazić się na jaką ciężką próbę, kiedy już dziś uciekasz od niego?

— Gdybyś go mamo lepiej znała...

— Znam go aż nadto dobrze i potępiam bez litości za to, że zburzył twój spokój i szczęście... O niego mi nie idzie, artystom dość jak są uwielbiani, to im w zupełności wystarcza do szczęścia... A teraz mówmy o tobie, wrócimy do Paryża razem... no, no uspokój się, pojedziemy dopiero za kilka dni... trzeba przecież uratować pozory...

Tu pani Maleyra przerwała mowę a po chwili zaczęła znów jak najpoważniej w świecie:

— Czy chcesz jakim bądź kosztem ocalić twą godność i okupić spokój?

— Chyba mama nie wątpi, iż szczerze pragnę tego.

— I nie chcesz abym umarła ze zmartwienia?

— Chcę być godną ciebie, mamo.

— A więc chodź ze mną najdroższa.

— Dokąd?

— Na spacer nad morze, to cię rozerwie trochę.

— Ależ mateczko, czy ja mam do tego chęć lub usposobienie...

— Zrób z siebie ofiarę, moje dziecko, wiesz jak ojciec lubi ten spacer, chociaż zaziębił się na nim i to było początkiem jego choroby.

Katarzyna z westchnieniem zaczęła wybierać się na spacer.

V.

Powrót Katarzyny do domu był prawdziwym dniem uroczystości. Zdawało się, że światło i radość przynosiła z sobą.

Maksym był w siódmem niebie, nie umiał słów dobrać na wyrażenie swej radości. Katarzyna z dobrotliwym uśmiechem przyjmowała dowody jego przywiązania choć w duszy wcale spokojną nie była. Zblizka nieprzyjaciel wydawał jej się straszniejszym niż zdaleka, zyskała tyle tylko, że chłodniej zapatrywała się na niebezpieczeństwo.

Pani Maleyra także nie czuła się uspokojoną, wiedziała, że nie mogła uważać Kasię za dobrego sprzymierzeńca, gdyż serce jej wbrew wszelkim rozumowaniom ciągnęło ją do Lucyana.

— Niech licho porwie artystów! — mówiła sobie w duszy — a to przeklęte położenie.

Na drugi dzień po powrocie pani Levallier, Borrèze przyszedł jak zwykle po południu. Prawda, że i w czasie nieobecności Katarzyny przychodził tak samo. Ciągnęła go nieprzeparta chęć dowiedzenia się czegoś.

Genowefa uprzedzając jego życzenia sama najczęściej zaczynała mówić o bratowej, biedaczka nie łudziła się co do znaczenia wizyt Lucyana, rozumiała aż nadto dobrze, że nie do niej tu przychodził a chociaż codzień bledszą i smutniejszą się stawała, witała go jednak zawsze z jednakowym dobrotliwym uśmiechem.

Pomimo tego przeświadczenia oczekiwała zawsze jego przyjścia z niecierpliwością a skoro się ukazał nie mówili o niczem innem jak o Katarzynie, która obojgu równie drogą była.

Gdy malarz dnia tego ukazał się na progu salonu, Maksym ze zwykłą sobie uprzejmością wybiegł na jego spotkanie i ująwszy go pod ramię zaprowadził do pani Maleyra.

— Kochana matko! — rzekł — z pewnością rada będziesz powitać tego pana.

— Bezwątpienia — odparła pani Maleyra. — Mam z nim dużo do pomówienia, ale dopiero wtedy gdy będziemy sami. To o czem chcę pogawędzić nie obchodzi nikogo więcej prócz nas obojga.

Mówiąc to przypatrywała się uważnie malarzowi, którego twarz napiętnowana głębokim smutkiem, rozrzewniła ją mimowolnie. Gniewna na samą siebie za to uczucie, które w jej oczach było nieszlachetnem, zamilkła postanawiając tylko w duchu pilnie na wszystko uważać.

Lucyan zaledwo kilka słów zamienił z panią Levallier.

Maksym ożywiony, śmiejący i wesoły jak nigdy, nie krył się bynajmniej ze szczęściem przepełniającem jego serce. Dla każdego znalazł jakieś uprzejme słówko, każdemu starał się przypodobać.

— Bardzo żałowałem, kochany panie Borrèze, żem nie mógł się z tobą widywać w ostatnich czasach — rzekł do Lucyana — ale byłem niezmiernie zajęty. Wiem jednak od Genowefy, że nie uląkłeś się naszego osamotnienia i byłeś łaskaw odwiedzać nas jak zwykle.

— Nic w tem dziwnego jeśli Genowefa była w domu — wtrąciła z niechcenia pani Maleyra. — Czy ci się zdaje Maksymie, że każdemu tak brak Katarzyny jak tobie?

— Zadajesz mi matko dziwne pytanie... Zresztą jeśli mam sądzić podług siebie...

— Podług siebie? A dlaczegóżeś jej pozwolił odjechać?

— Sądzę, że z tego powodu nie zasługuję na wyrzuty... Uczyniłem to poświęcenie jedynie ze względu na ciebie, moja matko.

— No, to chyba nie rozumiałeś całej jego rozciągłości.

— Przepraszam. Zdawało mi się, że żyć przestaję.

— Doprawdy.

— Nie inaczej.

— Oj! ci mężowie, zawsze wszystko potęgują, tak samo złe jak dobre.

Podczas tej rozmowy Lucyan przysunął się nieznacznie do Katarzyny i zaczął mówić spokojnie na pozór lecz namiętnym i przytłumionym szeptem tak, aby nikt nie mógł ich usłyszeć.

— Teraz skoro powróciłaś już do tego... domu, czy pozwolisz mi wyjechać z Paryża?

— Jesteś przecie panem twej woli Lucyanie. Lecz na co ten dziwny pośpiech?

— Wiesz dobrze co mnie ztąd wypędza, Katarzyno, chyba że zapomniałaś o naszem spotkaniu na kolei. Upewniam cię jednak, że tym razem nie wrócę się z drogi. Pojadę do Mentony.

Młoda kobieta zarumieniła się gwałtownie. Rozstanie na które skazała się dobrowolnie, było dla niej bolesną próbą. Cieszyła się że ujrzy Lucyana, że w oczach jego wyczyta znów potwierdzenie tajemnej miłości.

To też słowa jego uderzyły ją gromem. A więc wyjazd jej nie uspokoił go wcale, niebezpieczeństwo nie zostało przez to zażegnane.

Przez chwilę wahała się niepewna co ma odpowiedzieć, wreszcie uczciwość odniosła zwycięztwo i Katarzyna niezdolna przemówić słowa, skinęła tylko głową na znak potwierdzenia.

— O! on stokroć lepszy ode mnie! — zawołała w duchu. — On mnie broni lepiej niż ja siebie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Polowańko Jordana, komedya w 2 aktach. Kaprys Musseta, przysłowie w 1 akcie. Ciężkie czasy, krotochwila w 1 akcie panny Heleny Glücksberg.

Polowańko. Laurę kocha Sobiesław, ale jej ciocia obrażona za przydomek starej panny, jak i jej nadał nierozważnie rzeczony konkurent, proteguje Fonsia zdemoralizowanego zupełnie młodzieńca. I zapewne tyle nieodpowiedni pod każdym względem związek zostałby zawartym, gdyby się ojczulek nieupamiętał a pan Sobiesław nie zapłacił narzuconemu zalotnikowi tytułem odczepnego okrągłą sumę 8,000 rubli. Wspomnione wypadki mają miejsce na wsi w dworku pana Bonifacego z okazyi polowania jakie tenże na dziki urządził.

Wszystkie charaktery wchodzących do sztuki osobistości skreślone są na wielokrotnie już używanej przez dramatycznych pisarzy normie; jeden Fonsio stanowi typ całkiem odmienny ale zarazem i nienaturalny. Młodzieniaszek ten bowiem do tego stopnia zepsuty posiada zwykle więcej sprytu i wie, iż ci którzy czelnością brawują nie zdobędą sobie nigdy uznania wśród grona prostych lecz w gruncie rzeczy uczciwych ludzi. Nabycie panny za pieniądze niby towaru, nie zdaje nam się również szczęśliwie pomyślanym pomysłem, szczególniej ze strony tyle delikatnego człowieka jakim był pan Sobiesław.

Dodatniemi stronami całej komedyi, jest zręcznie prowadzona intryga, naturalny humor, swojskość i żywe dyalogowanie co przy wybornej (z jednem wyjątkiem) grze artystów, a mianowicie mistrzowskiej grze Żółkowskiego, pozwalają mniemać iż „Polowańko" utrzyma się przez dłuższy czas w repertuarze. Należałoby jednak porobić niektóre skrócenia usuwając zbyteczne szczegóły i niepotrzebne dodatki, mianowicie w drugiej połowie sztuki.

Kaprys. Wiadomo powszechnie iż najpiękniejsze perły uryańskie zamierają, tracąc z upływem czasu swoją pierwotną wartość; o perełkach jednak literatury nadobnej powiedzieć tego nie można. Czterdzieści lat upływa jak Kaprys Musseta wprowadzony został na deski „Komedyi francuzkiej" w Paryżu, a jednak to cacko wykwintnego smaku, ta pieszczotka dystynkcyi salonowej, ten klejnocik dobrego tonu, lśni zawsze jednakowym blaskiem, budząc u każdego o estetycznych pojęciach błogie uczucie duchowych rozkoszy.

Francuzi, którzy umieją robić coś z niczego wymyślili tak zwane „przysłowie". Przysłowie nie jest komedyą ani dramatem, nie wprowadza na scenę szału namiętności, nie rozbudza groźby ani też schlebia pessymistom kreśleniem ujemnych stron społeczeństwa. To drobne zdźbło, niby leciuchny puszek powiewem wietrzyka niesiony, a jednak prawdziwe talenta potrafią z owej okruszynki wyprowadzić zdumiewającą oko widza grę świateł i kolorów.

Takim jest Kaprys Musseta.

Treści owego utworu opowiedzieć trudno. Pan de Chavigny dla kaprysu zalotnej kobiety, poswięca miłość pięknej i kochającej go żony; na szczęście znajduje się „une bonne fée" w postaci ujmującej wdziękami a sprytnej przyjaciółki, która skłonnemu do niewierności małżonkowi daje delikatną naukę i doprowadza chwilowo poróżnione małżeństwo do zgody. Ot i wszystko; lecz ileż finezyi, ileż subtelnych uwydatnień, misternie wyrzeźbionych szczególików składa się na ową pełną nieokreślonego uroku całość, niepodobna słowami określić.

Pójdźcie i zobaczcie!

Owo o mikroskopijnych rozmiarach pieścidełko odegranem zostało wybornie. Pani Lüde, panna Barszczewska i pan Prażmowski złożyli tercet artystyczny, mogący rywalizować doskonałością wykonania wszelkich odcieni sztuki z najpierwszemi scenami Europy.

Ciężkie czasy. Po mniej udatnej od poprzednich prac lecz zawsze z talentem napisanej komedyi Jordana, po ślicznej perełce ze skarbca Musseta wyjętej, przychodzi nam niestety pomówić o poronionym płodzie niefortunnego pióra.

Ciężkie czasy, jest to coś noszącego na afiszu nazwę krotochfili a jednak nawet jako farsa razi trywialnością. Pan Paweł obywatel ziemski posiada cztery córki dla których pragnie gwałtem znaleźć mężów. Jego poprzednik, papa dziesięciu cór na wydaniu z operetki Soupego, każe swojem pociechom bębnić, maszerować, śpiewać, deklamować; on zaś poprostu chwyta za poły każdego przybysza i przymusza go do stanięcia na ślubnym kobiercu. Dziwnemi zaiste są sposoby jakich dla dopięcia zamierzonego celu używa. Jeden wygrawszy od starego sporą sumę pieniędzy musi wziąć żonę jako dodatek do kapitału; drugą córką obdarza słynącego z brzydoty stroiciela fortepianów: trzecią znowu bierze jakiś pan Antoni dla nauczenia jej... konnej jazdy! Czwarta zostaje wprawdzie przy domowem gospodarstwie, ale i z nią zważywszy na przedsiębierczość tatusia, nie będzie zapewne wielkiego kłopotu. Wszystkie działające osoby w sztuce, są to postacie o karykaturalnych kształtach, wszystkie wypowiedziane dowcipy wywołują rumieniec wstydu u słuchaczy, szanujących przyzwoitość towarzyską, jedynym zaś oryginalnym pomysłem w tym zlepku komiki najniższego pokroju, jest zamieszczenie na afiszu osobistości panny Róży, nieukazującej się wcale zgromadzonym widzom.

Szczególnym trafem przedstawiono w jednym dniu dwie sztuki „Polowańko" i „Ciężkie czasy". Nazywam ów traf szczególnym z następującego powodu: w pierwszej autor tajemniczy tak starannie się ukrywa przed światem, iż dotąd nikt nie zdołał odgadnąć kim jest rzeczywiście: w drugiej autorka wygłosiwszy „urbi et orbi" swe miano, przy zapadnięciu dopiero kortyny uznała za stosowne opuścić przyłbicę. Chwalebna to skromność, ale niestety cokolwiek spóźniona.

Jeszcze słówko. W jednym z większych i poważniejszych organów naszej prasy, znajduje się krótka ocena owej krotochwili. Recenzent ganiąc słusznie wspomnianą ramotę, powiada między innemi:

„Niezdarny ten utwór przy klasycznej Livii Rzętkowskiego i wybornym Kaprysie Musseta, wygląda zaprawdę nie jak bukiet przy kożuchu, ale odwrotnie jak wiechetek przy sukni balowej", poczem następuje ocena gry artystów. Tymczasem Livii Rzędkowskiego nie grano wcale ani tego ani też następnych wieczorów. Gdzież więc się sprawozdawca znajdował? W każdym razie pewno nie na przedstawieniu. Mniemamy iż sądzić o wykonaniu sztuki nie będąc obecnym w teatrze, to przechodzi nawet intuicyą woli tak wybornie wytłomaczoną w dziele pod tytułem „De la suggestion mentale". O takich cudach Julian Ochorowicz nie pisał.

Ludwik Niemojowski.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Grudnia 1887 roku.

Moda zimowa zupełnie już ustalona. Magazyny ukończyły wystawy swoje. Widowiska w teatrach, uroczystości akademickie i zebrania wszelkiego rodzaju dały sposobność Paryżankom, do wydobycia na jaw nowych pomysłów, dotąd trzymanych w tajemnicy. Powiedzmy jednak, że oprócz małych odmian, ogólny charakter mody nie nosi nowego piętna, a co więcej nie odznacza się piękną stroną. Widzimy zawsze te wysokie kołnierze u sukien i kostyumów, przyjęte od Angielek, bez śladu białego kołnierzyka, widzimy zawsze te stożkowate kapelusze, zakończone szpiczasto z wierzchu głowy i owe czerwone weloniki z pod których wygląda twarz jak ze skóry odarta. Wprawdzie wielka część kobiet unika tych śmiesznych wybryków, ale ogół trzyma ich się uporczywie; jednem słowem tradycya wytwornego smaku zaciera się wyraźnie w Paryżu, zarówno w modach, jak w literaturze i sztuce. Wszędzie pogoń za ekscentrycznością sprzeczna z prawami estetyki.

Wskazawszy nasamprzód ujemne strony, powiedzmy też słówko o dodatnich. Jeżeli do wełnianych kostyumów zachowano stojące kołnierze, za to do ubranych sukien upowszechniają się coraz bardziej, fryzki z tiulu drobno plisowanego, odwinięte na stanik i odsłaniające szyję. Niektóre z tych fryzek szerokie na ćwierć łokcia, inne daleko węższe; do tych ostatnich, dodają takiż sam żabot, prosty lub odwracany. Do codziennego nawet ubrania, robią także fryzki odwinięte z półbatystu białego lub w drobne kolorowe paski. Takież same mankietki odwijają się na rękaw. Co do kapeluszy, wielka część Paryżanek zmniejszyła znacznie ich rozmiary, to samo widzimy i w turniurach.

Kolor czerwony, którego tak nadużyto, zastąpiono dziś żółtym w rozmaitych odcieniach, począwszy od słomkowego (faille), aż do ciemno pomarańczowego (portugal).

Z ciemniejszych kolorów, powszechnie przyjęty wydrowy i w ogóle wszystkie odcienia brązowego. Płaszcze pluszowe w tym kolorze bardzo modne w tym roku, zdobią je futerkiem wydry lub bobru, u szyi tylko i u rękawów. Zaniedbane od lat kilku *boa*, odzyskały dziś dawną wziętość.

Przejdźmy teraz do sukien. Parę tygodni temu byliśmy w Operze na pięćsetnem przedstawieniu Fausta. Paryzkie panie, aby uczcić Gunoda wystąpiły nadzwyczaj świetnie, sala błyszczała od dyamentów i drogich kamieni. Dajemy opis kilku strojów, które szczególniej wpadły nam w oko.

Suknia jasno błękitna. Spódniczka z materyi faille, układana w głębokie fałdy, powleczona jedwabnym tiulem błękitnym w rzucik, na to tunika z aksamitu wyciskanego w morowy deseń, w tymże samym kolorze. Stanik aksamitny bez rękawów, mocno roztwarty, na szmizetce z błękitnego tiulu, włosy ułożone w ósemkę, nieco odsuniętą na tył głowy. Nad czołem przepasana trzy razy bandeletka grecka z czarnej aksamitki, naszytej w odstępach brylantami.

Takie bandeletki stanowią dzisiaj pierwszą nowość. Do mniejszego ubrania naszywają je dżetem, do większego złotemi lub srebrnemi blaszkami. Parę wielkich odpowiednich szpilek wpinają zazwyczaj do włosów.

Drugie ubranie: Suknia morowa, koloru ciemno pomarańczowego (portugal), upięta fantastycznie, na spódniczce z materyi faille, powleczonej białą koronką. Stanik otwarty, z pod otworu wybiega plastron nagarnirowany koronkowemi wolancikami. Rękawy do łokcia, przybrane odpowiednio. Włosy przepięte strzałą dyamentową.

Trzecia suknia aksamitna heliotropowa. Przód z mory mienionej w dwóch kolorach: heliotropowym i mchowym, nagarnirowany białą koronką. Stanik aksamitny otwarty, przody zasznurowane na szmizetce tiulowej. Przez ramiona przeciągnięte szelki z barb koronkowych. Na szyi perły, na głowie potrójna bandeletka z aksamitki czarnej naszywana perłami.

Czwarte ubranie młodej panienki: Suknia jasno błękitna z tiulu jedwabnego na spódniczce *surah*. Draperya z lewego boku podpięta długą gałązką bladoróżowego i białego powoiku. Stanik jedwabny otwarty na szmizetce tiulowej błękitnej. Przody połączone w drabinkę trzema gałązkami powoików.

Suknie białe z czarnym garnirunkiem, równie jak czarne, ozdobione białą koronką, należą w tym roku do pierwszej mody. Widzieliśmy w pięknym magazynie *Aux Trois Quartiers*, kilka takich sukien, oto dwie najładniejsze.

Pierwsza dla młodej osoby, z lekkiej tkaniny białej (voile). Spódniczka ułożona w głębokie kontrafałdy. Na pół łokcia od ziemi, każdy fałd przytwierdzony małą kokardką z aksamitki czarnej. Takież kokardki ciągną się rzędem z obu stron otwartego i przymarszczonego stanika. Pod spód szmizetka tiulowa. Takież rękawki złożone z bufek, przepinanych aksamitką i kokardkami.

Inna suknia aksamitna do wielkiego ubrania: Przód morowy, naszyty u dołu koronkowym wolantem szerokim na pół łokcia. Nad tym naszywana wązka koronka czarna i biała na przemiany. Tylne bryty rozniesisto przyfałdowane, spada na nie osobny tren, ścięty u dołu czworograniasto i podbity czarnym atłasem. Stanik z bardzo długim bawetem, spięty u dołu na drobne szmuklerskie guziki, powyżej szeroko otwarty. Pod spód idzie tiulowa szmizetka, nagarnirowana białą i czarną koronką.

Do ubrania czarnych sukien, używana koronka zupełnie biała, a nie w odcieniu śmietankowym jaką dotąd noszono.

Przyjęty od Anglików zwyczaj, zbierania się przed wieczorem na herbatę, zwany *fife o clock* (piąta na zegarze) wywołał nowe mody. Osoby przybywające, ubierają się jak na zwykłą wizytę, ale gospodyni domu nosi zazwyczaj kostyum fantastyczny, w jasnych i żywych kolorach. Widzieliśmy tego rodzaju kostyum, złożony z długiej polki pluszowej koloru mahoniowego; przody od góry do dołu otwarte, łączą się tylko w pasie klapką pluszową wyciętą w ząb na kształt bawetu. Spódniczka do tego z blado żółtej materyi surah, nagarnirowana w odstępach białą koronką, takaż sama szmizetka. Rękawy pluszowe otwarte szerokie, spadają poniżej łokcia, pod niemi obcisłe żółte, przybrane koronkami.

Inny kostyum w kolorze mchowym, także pluszowy, miał blado różową spódniczkę w ceglastym odcieniu. Kolor ten zwany *brique*, bardzo dziś używany.

Na tych zebraniach *fife o clock*, panienki same według angielskiej mody, nalewają i roznoszą herbatę. W tym roku przygotowano na ten cel po magazynach bardzo ładne fartuszki. Jeden z nich jedwabny surah, w różnokolorową kratę, zaokrąglony po bokach, obszyty trzy razy aksamitką, wiąże się w tyle szarfą z takiejże materyi. Krótkie szelki naszyte również aksamitką, zachodzą na stanik, przytwierdzone złotemi szpilkami.

Drugi fartuszek biały muszlinowy z haftowanym szlakiem, cały zasiany w drobny rzucik. Dopełnia go aksamitny gorsecik, złożony tylko z szelek i sznurowanych przodów, pod spód idzie muszlinowa przymarszczona koszulka. Spódniczka do tego jedwabna w drobną kratkę.

S. D.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Jedna z Warszawianek szczególna zwolenniczka pomysłów, mających na celu podniesienie dobrobytu społecznego, postanowiła zająć się założeniem Towarzystwa asekuracyjnego dla kobiet zachodzących w lata w panieństwie.

Podobne w Danii istnieje i o ile się zdaje jest jedynem w swoim rodzaju. Celem tego towarzystwa jest zabezpieczenie niezamężnych kobiet przez danie im schronienia, opieki oraz fundusze na drobne wydatki.

Skoro urodzi się w jakiej familii dziewczynka, ojciec jej, o ile naturalnie pragnie tego, wpisuje ją do towarzystwa i płaci pewną sumę.

Gdy dziewczyna dojdzie do lat 24 i nie jest jeszcze zamężną, ma prawo do określonego statutami towarzystwa dochodu, oraz do pokoju w gmachu tegoż towarzystwa, otoczonego obszernym ogrodem i zamieszkanego przez młodsze i starsze panie, które w taki sam sposób zostały członkami towarzystwa.

Jeżeli ojciec asekurowanej w ten sposób córki umiera wcześniej, to jest zanim ona skończy lat 24, towarzystwo daje jej w swoim domu schronienie, a gdy dojdzie do oznaczonego wieku i należny jej dochód.

W razie, jeżeli zaasekurowana umiera lub wychodzi za mąż traci wszelkie prawa, a wypłacone pieniądze zostają wcielone do kasy towarzystwa, bez względu na to przez ile lat ojciec ubezpieczonej wnosił składkę.

Trudno odmówić temu praktycznemu stowarzyszeniu racyi bytu.

Drugą wiadomość podobną ogłosiły pisma codzienne, donosząc że ponieważ w Warszawie brak jest zupełny zakładu, w którymby kobiety, zwłaszcza wdowy, mogły żyć w zupełnem zaciszu, pani zatem Magdalena Świtkowska, obywatelka niegdyś z mławskiego, obmyśliła plan ufundowania tego rodzaju instytucyi i na cel ten część majątku swojego przeznaczyła.

Po zasięgnięciu szczegółów o zapisie, który w tych dniach w formę urzędową przyobleczony został, donieść nie omieszkamy bliższych danych.

Korespondent Kraju w liście z Londynu podaje następującą wiązkę interesujących nas szczegółów. Między tutejszymi rodaczkami naszymi zawiązał się komitet z myślą wprowadzenia do Anglii naszych haftów. W tym celu, mając już okazy haftów i koronek galicyjskich, panie nasze zamierzają zaprezentować je na wystawie robótek artystycznych kobiecych jaka się otworzy na wiosnę pod prezydencyą hrabiny Rossebery. Pani A. Giełgudowa stoi na czele komitetu. Dodać wypada, że dotychczas koronki i hafty galicyjskie, jak tyle innych wyrobów i produktów naszych, noszą tutaj nazwę ruskich.

Józio Hofman występuje ponownie w S-t James-Hall, przed zachwyconą publicznością londyńską. Ostatniej soboty, na dwie godziny przed rozpoczęciem koncertu, niepodobna było już otrzymać biletu. Józio grał z ojcem sonatę Mozarta na dwa fortepiany. Rondo Capricioso Mendelssohna, Webera, „Polacca", oprócz niektórych utworów Szopena, Szumanna i Rubinsteina. Na nieszczęście, nie ulega wątpliwości, że fenomenalny chłopczyk upada na siłach fizycznych i nie obiecuje dożyć wieku męzkiego.

Korespondent angielski *Indep. belge* opowiada zabawną anegdotkę o małym wirtuozie. Przed kilkoma dniami jeden z bogatych przemysłowców, dowiedziawszy się, iż Hofman ma wystąpić z koncertem w Hall, zapraszał go do swojego zamku, leżącego po drodze. Józio w pierwszej chwili nie odmówił, lecz usiadłszy na kolanach swego opiekuna i impresaria pana M. Lindlara, szepnął mu do ucha:

— Nie chcę tam jechać.

— Dlaczego?

— Bo w zamkach angielskich jest zawiele dam. Obcinają mi promienie włosów, zmuszają po całych dniach do podpisywania mego nazwiska w albumach i całują mnie od rana do nocy... Nie lubię tego.

Z pracy kobiet. I w dziedzinie astronomii odznaczają się zaszczytnie uczone kobiety, a to w sposób, stwierdzający najściślejsze wykształcenie w tej nauce. Wzmiankowano już, że na obserwacyę zaćmienia słońca w Sierpniu r. b. Towarzystwo astronomiczne w Liwerpoolu wysłało do Rossyi pannę Elizę Brown. Obecnie zaś w świecie uczonym zwróciła uwagę praca amerykanki, panny Alicyi Lamb, ogłoszona w zbiorze publikacyi obserwatoryum Washburn p. t. „An index to certain classes of stars contained in the Greenwich catalogues etc." Praca ta wykonaną została na życzenie słynnego astronoma Argelandera i posiadać ma wielką wartość dla specyalistów.

Cesarzowa i milionerka. Cesarzowa brazylijska była obecną w zeszłym tygodniu na jakiejś zabawie w Cannes. Dostojna pani miała w ręku skromny szyldkretowy wachlarz, a jedna z obecnych dam zapytała ją, dlaczego nie używa na wachlarze swoje wspaniałych piór, które z Brazylii rozsyłane są na wszystkie strony świata.

— Lubię bardzo te piękne pióra — odparła cesarzowa z uśmiechem — i posiadam ich niemało, ale zachwycają mnie jedynie wówczas, gdy je widzę na ptaszętach skaczących wesoło po drzewach mojego ogrodu; nie byłabym nigdy zdolną pozbawić ich tych cudnych piór i zdobić niemi moje wachlarze.

Milionerka amerykańska, pani Mackay inaczej zapatruje się na tę kwestyę, cego najlepszym dowodem okrycie z ptaków rajskich, o którem wspominaliśmy już na tem miejscu. Czasopismo angielskie *Saturday Review* występując w jednym z ostatnich numerów swoich z ostrym artykułem, przeciw tej fantazyi bogatej pani, twierdzi że okrycie to będzie „pomnikiem uiszczenia życia" i wyraża nadzieję, że skoro pani Mackay przywdzieje to barbarzyńskie okrycie, nikt z nią nie będzie mówił. Dla dogodzenia zachciance milionerki wytępiony tedy będzie jeden z najrzadszych ptaków tak zwany ptak rajski czerwony (Paradisea rubra) i w tym celu pani Mackay wysłała już do Nowej Gwinei dwóch specyalnych strzelców, którzy tam pozostaną, dopóki nie upolują dostatecznej ilości ptaków. Istne to barbarzyństwo.

Katastrofa na morzu. Dzienniki zagraniczne przynoszą obecnie bliższe szczegóły strasznej katastrofy, jaka miała miejsce ubiegłej niedzieli wieczorem nieopodal Doveru. Parowiec angielski „Rosa Mary" z Hartlepool, najechał z taką siłą na holenderski parowiec „Scholten" idący z Rotterdamu, że zrobił w nim wyłom na ośm stóp szeroki i popłynął dalej, pozostawiając uszkodzony okręt jego losowi. W kwadrans później „Scholten" poszedł na dno. Spotkanie się parowców miało miejsce wkrótce po udaniu się na spoczynek znużonych taneczną zabawą na pokładzie pasażerów. Wraz z załogą znajdowało się na parowcu 210 osób. Pomiędzy 150 pasażerami było 130 wychodźców w większej części Holenderczyków i Niemców. Trwoga, jaka opanowała wszystkich nie pozwoliła zastosować odpowiednich środków ratunkowych. Z ośmiu łodzi zdołano spuścić tylko dwie, które przepełniły się w jednej chwili. Pasażerowie, nieprzytomni z rozpaczy, wskakiwali do wody, wołając przeraźliwie o pomoc, inni chwytali się wrzuconych w fale łóżek i materacy. Naoczni świadkowie opowiadają o rozdzierających scenach pożegnania, matki tuląc w objęciach dzieci tonęły w falach. Parowiec „Dobro" zdołał uratować 78 osób i przywiózł je do Dover, reszta w liczbie 132 znalazła prawdopodobnie śmierć w falach, gdyż dotąd nie ma żadnych o nich wieści. Między innemi zginął także kapitan parowca i pierwszy sternik, nadto 34 majtków. Powodem katastrofy ma być stanowczo nieostrożna jazda „Rosa Mary". Na liście osób, które utonęły znajdujemy dwa nazwiska polskie: Bronmowski i Komrowski, niewiadomo wszakże czy należały do naszych rodaków a zwłaszcza czy są dokładnie podane. Liczba rozbitków, którzy zdołali uratować życie po zatonięciu parowca „Scholten" nieopodal Doveru, wynosi dotąd 87. Wszyscy oni znaleźli chwilowy przytułek w Sailors Home w Dover, który tylu setkom rozbitków dawał schronienie. Biedacy znajdowali się w okropnym stanie; zaledwie odziani, boso, bez kapeluszy, wycieńczeni do ostatka, tak że wielu z nich nie było nawet w stanie przyjąć pokarmu. W Sailors Home wszyscy otrzymali nowe ubranie i doraźną pomoc. Jedna pani, utraciwszy w falach męża i dwoje dzieci, uległa obłąkaniu. Inna znów, dwudniowa zaledwie mężatka opłakuje stratę męża. Rozpacz uratowanych z których każdy prawie oprócz całego mienia utracił i kogoś z blizkich, jest nie do opisania. Pasażer angielski, Miles, uskarża się bardzo na postępowanie majtków holenderskich, którzy myśleli tylko o własnym ratunku, odpychając od łodzi nawet kobiety. Jemu samemu jeden z majtków wyrwał z ręki pas ratunkowy. Na nowej liście utopionych których zwłoki wydobyto z fal, znajduje się Friedmana Kowas, Rive Bell i Sandusky z Warszawy. Czy nazwiska te nie są przekręcone, trudno wiedzieć.

Leon Kokociński, warszawianin, odznaczył się niezwykłą pomysłowością. Mając lat 16 wyjechał do Ameryki, następnie przybył do Londynu z gotowym majątkiem w patentowanym wynalazku okularów ulepszonych. Kokociński w swoich wędrówkach na zachodzie odnalazł minerał, służący do niebywałego dotąd szlifowania szkła i dzięki temu okulary udoskonalił. Towar ten zapanował wszechwładnie na targu angielskim. Rodak nasz otworzył pracownię w Londynie, w której zatrudnia kilkanaście polskich dziewcząt.

Niezwykły konflikt wynikł w tych dniach między Watykanem a włoskim zarządem celnym i przedstawiony został do rozstrzygnięcia ministrowi skarbu. Jedna z fabryk wina szampańskiego w Rheims przesłała Papieżowi, jako podarunek jubileuszowy, tysiąc butelek najlepszego szampana. Gdy posyłka nadeszła do Rzymu została wstrzymana na komorze i obłożona wysokiem cłem. Uczeni finansiści Watykanu napróżno usiłowali uwolnić od cła cenne butelki, jako oggetti di pietà (przedmioty pietyzmu). Spodziewać się należy, że minister skarbu, Magliani, załatwi polubownie tę „szampańską" kwestyę.

W Rzymie władze usunęły w tych dniach przeszło dwunastu fabrykantów i handlarzy antyków. Towarzystwo to stanowiące zaledwie małą cząstkę bardzo rozgałęzionego przemysłu, posiadało na via Tordinone laboratoryum, w którem fabrykowano „stare" medale, posążki, monety, kandelabry bronzowe i t. p. Podrabiane te antyki sprzedawane były następnie przez agentów towarzystwa bardzo korzystnie, zwłaszcza cudzoziemcom po hotelach.

Głośna menażerya Barnuma zgorzała ze szczętem w Bridgeport w stanie Connecticut. Pożar powstał wskutek wybuchu lampy naftowej, a spostrzeżono go dopiero gdy już płomienie ogarnęły klatki zwierząt. Dozorcy potracili głowę i zostawili wszystko na pastwę ognia, tak, że w przeciągu pół godziny cały budynek menażeryi był już tylko stosem dymiących gruzów. Trzy słonie, między niemi i sławny słoń birmański, wszystkie tresowane zwierzęta, konie, kucyki, małpy i t. d. zginęły w płomieniach. Trzydzieści słoni i jeden lew uciekło podczas pożaru; słonie zdołano schwytać, lwa zaś, który biegając po ulicach wywoływał paniczny przestrach, zastrzelono. Straty wynikłe z pożaru dochodzą do 700,000 dolarów.

W Paryżu w tych dniach spostrzegł jeden ze współpracowników *Temps* na rogu ulicy Faubourg Montmartre w Paryżu, sędziwego starca z białą jak śnieg brodą, który kłaniał się uprzejmie przechodniom i rozdawał im reklamy. Dziennikarz ów zainteresowany szlachetnemi rysami twarzy starca zbliżył się do niego, a w tej samej chwili zaczepiły go dwie damy:

— Jak się macie, ojcze? — zapytała jedna.

— Dziękuję pani, zupełnie dobrze — odparł — ale pani obawiasz się ciągle bo jesteś w poważnym stanie. Odwagi, moja pani, będziesz pani szczęśliwa i obdarujesz ojczyznę synem. A wy panienko — zwrócił się do drugiej damy — pójdziecie niedługo za mąż.

Obie panie podziękowały starcowi i dały mu każda za wręczoną sobie kartkę po franku. Dziennikarz coraz bardziej zaciekawiony zapytał najbliższego policyanta kim był ów starzec, a stróż bezpieczeństwa odparł z uśmiechem:

— Tego zna pół Paryża, a zwłaszcza policya. Ma on już 104 lat i jest jeszcze dzisiaj równie czerstwy jak przed laty 80-ciu. Nie żebrze nigdy, tylko tym którzy do niego mówią daje drukowane na kartkach dobre rady na drogę. Z tego żyje i nie przeszkadzamy mu nigdy. Przed czterema

laty obchodził setną rocznicę swoich urodzin i zaprosił ze sześciu swoich przyjaciół, czyli swoje dzieci, jak ich nazywa, w wieku lat 80, 84 i 90. Całe towarzystwo udało się do garkuchni na biesiadę, sędziwy solenizant przyjmował powinszowania swoich „dzieci" a wieczorem stał znów na swojem zwykłem stanowisku i rozdzielał przechodniom swoje kartki.

— Co silniejsze od torpedy, wyrzucającej w powietrze całe okręty, choćby największe i najcięższe?

— Dynamit.

— Bajki.

— Więc cóż?

— Miłość, bo nawet najupartszych głupców przemienia w pokornych baranków. A czy jest siła na świecie, któraby czegoś podobnego dokazać mogła?

* * *

W pewnem miasteczku niemieckiem odbywał się pogrzeb bogatego dzierżawcy, nazwiskiem Lehmann. Chór ukończył już pieśni żałobne, a pastor rozpoczął mowę pogrzebową nad otwartym grobem.

Naraz kilku chłopcom z chóru zdaje się, że słyszą jakiś szelest w trumnie. Dają znaki pastorowi, ale ten karci ich surowem spojrzeniem za to, iż poważają się przerywać mu potoki wymowy.

Po chwili zakrystyanowi zdaje się również, że słyszy w trumnie szelest; niechcąc przeszkadzać już pastorowi, zbliża się tedy do trumny, nachyla się i pukając w wieko pyta półgłosem:

— Panie Lehmann, czy pan sobie jeszcze czego życzy?...

* * *

— Nic nie ma lepszego na świecie jak kieliszek wódki! — woła jeden z trunkowych przyjaciół.

— Nie prawda, bo lepsza cała flaszka! — woła drugi.

* * *

— Pan Iks idzie, powiedz Maniu że mnie nie ma w domu! — woła pani Zet i chowa się za wieszadło z ubraniem stojące w przedpokoju.

— Czy jest mamusia? — pyta wchodzący pan Iks.

— Nie, proszę pana, wyszła do miasta.

— Tak? — z zadziwieniem odpowiada pan Iks, spoglądając na nogi pani Zet wyzierające z pod ubrania.

— A tak, wyszła przed kwadransem.

— To poproś Manieczko mamy, aby mi doniosła na czem wyszła, bo nogi jak widzę zostawiła w domu.

* * *

Wesołą anegdotę, na znany już, zdaje się... temat zaćmienia słońca, opowiedziano Przeglądowi lwowskiemu. Pewien adjutant pułkowy, zawezwawszy wachmistrzów, ogłosił im następujący rozkaz dzienny:

„Dnia 19 b. m. nastąpi zaćmienie słońca. Pp. plutonowi komendanci, zechcą swoich podkomendnych pouczyć o tem ciekawem zjawisku przyrody Ponieważ zaćmienie zacznie się o godzinie 5 minut 22, przeto należy pół godziny przedtem zgromadzić żołnierzy na dziedzińcu koszar i tam im przyczynę zaćmienia wyjaśnić. Pobudka ranna odbędzie się o 3 kwadranse wcześniej jak zwykle. W razie niepogody, zaćmienie słońca nie będzie widzialne, a wtedy trębacze winni zaraz odegrać pobudkę w zwykłym czasie."

Wysłuchawszy tego rozkazu wachmistrze, wrócili do koszar i jeden z nich natychmiast zwoławszy cały pluton, temi słowy zakomunikował żołnierzom rozkaz pułkowy:

„Na rozkaz pana pułkownika, odbędzie się jutro rano, jeszcze przed pobudką, wielkie zaćmienie słońca. Zaćmienie to będzie miało miejsce na dziedzińcu koszarowym, pomiędzy god. 5 min. 22, a godz. 6 min. 43. Żołnierze mają wyruszyć na podwórze o godzinie 4 minut 30 i ustawić się frontem do baraków. W każdej kompanii pan kapitan osobiście dyrygować będzie zaćmieniem. Na wypadek niepogody, na rozkaz pana pułkownika, zaćmienie odłożone będzie na później, a pobudka odegrana być ma w zwykłym czasie."

* * *

Wielką usługę przyjacielską spełnił pan Garnier, aeronauta w Paryżu. W chwili, gdy wśród licznie zebranej publiczności miał się puścić balonem, zbliżył się do niego przyjaciel jego oficer kawaleryi Rouset z prośbą:

— Mój drogi, jest tu moja ukochana, lecz z matką, która mnie nienawidzi. Tymczasem potrzebuję koniecznie parę chwil sekretnej rozmowy z panną, wiele mi na tem zależy. Otóż, czy nie mógłbyś zająć na chwilę jej matki?

— Bardzo dobrze — odpowiedział aeronauta i zbliżywszy się do wskazanej mu osoby, prosił, by raczyła pobłogosławić jego podróż przez wstąpienie do łódki na pół minuty.

Pani X. zadość uczyniła prośbie, lecz skoro tylko stanęła w łódce, aeronauta dał znak i balon wzleciał w górę. W kilka dni później oficer, otrzymał od p. Garnier następujący telegram:

„Wylądowaliśmy pomyślnie w Enghien wraz z matką, która teraz właśnie idzie do sądu, aby mnie zaskarżyć. Czyś przynajmniej ten czas zużytkował należycie?"

RÓŻNE MYŚLI.

Nie dość przebaczyć zniewagę, trzeba ją zapomnieć. *Saurin.*

OD REDAKCYI.

☛ **Tom dwudziesty pism Alberta Wilczyńskiego, wyszedł z druku i obejmuje:**

GALERYĄ DYLETANTÓW:

Wspólnicy. — Pierwszy zawód. — Literacka sofa.

Wydawnictwo to redakcya przeznaczyła na premium nadzwyczajne dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum bo do połowy ceny księgarskiej.

☛ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

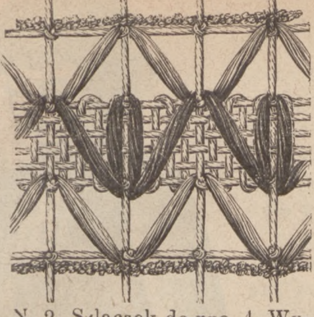
Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Ноября 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.

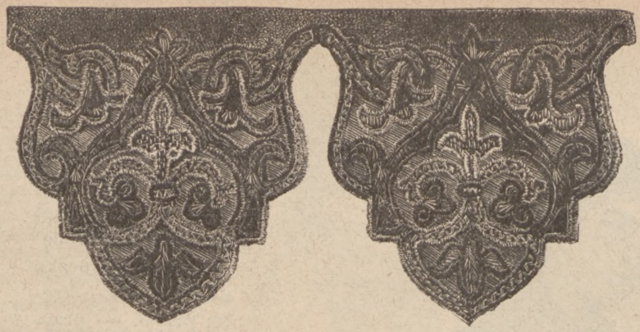
Opis do N-ru 49.

(*Dalszy ciąg*).

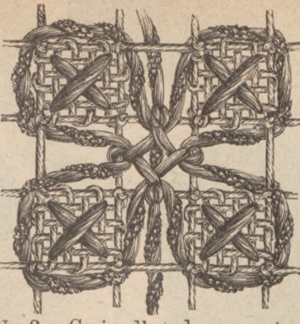
Na gwiazdę środkową użyta filozela w całej grubości, w kolorze pawim i miedzianym, na wąsy pawiego koloru; narożniki w niższej części (do górnych liści pawich) i kielichy rozdzielających je figur są wyszyte mchowozielonym jedwabiem, drobne powyżej rozrzucone kwadraciki, wąsy i krzyżyki przy nich odrobione dwoma cieniami miedzianemi. Szlaczek między tłem a brzegiem (patrz ryc. 2) ma środkiem naszycie zielone, a ściegi brzeżne pawiego koloru. Gwiazdki w zębach są naprzemian wszystkich powyżej wzmiankowanych kolorów; brzeżne kwadraciki zębów są pawiego koloru ściegiem *de reprise*, krzyżyki wyszyte mchowo zielonym.



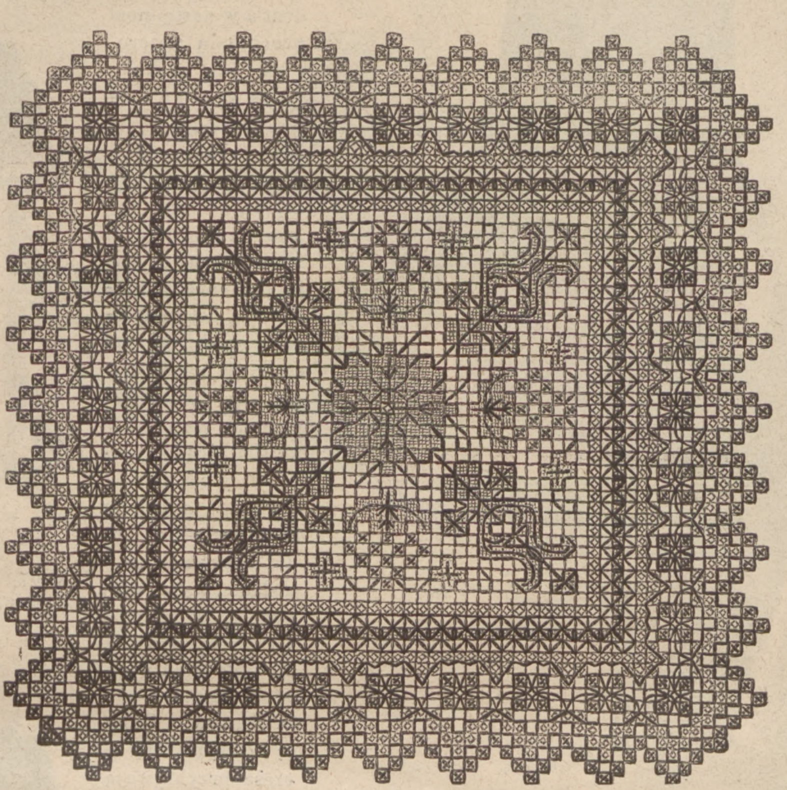
N. 2. Szlaczek do ryc. 4. Wyszycie kolorowe na siatce. Patrz ryc. 3.



N. 1. Lambrekina. Haft szneln. Patrz r. 4 w N-rze 48.



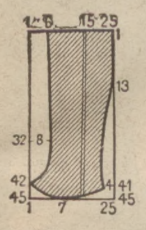
N. 3. Gwiazdka do ryc. 4. Wyszycie kolorowe na siatce. Patrz ryc. 2—4.



N. 4. Serweta. Siatka gipiurowa z kolorowem wyszyciem.

N. 5—6 i 16. Kaftanik negliżowy.

Flanelka w paski ponsowe z niebieskim ma za podszewkę gładki niebieski kaszmir i takąż wstążkę na pasek; na ryc. 16 daliśmy wymiar kroju, który zastosować trzeba podług formy zwykłego stanika, linia kropkowana przy przodach i plecach oznacza naddanie zwierzchniego materyału na drobne fałdki, ułożone na gładkiej podszewce; z przodu od wykroju szyi i od ramion są one zaszyte wzdłuż na 20 c., niżej zaś wolno puszczone, na plecach przeciwnie u góry są tylko założone a na wcięciu stanu ściśle zachodzące na siebie i przyszyte do podszewki. Kołnierzyk stojący 5 c. wysoki; szerokie rękawy sfałdowane u dołu, 51 c. długie, wszyte w pasek 6½ cent. szeroki; na szwie środkowym założone parę fałdek, ażeby rękaw zbytecznie na rękę nie opadał. W przednie szwy boczne wpuszczone końce wstążki związanej z przodu; guziki z konchy perłowej.



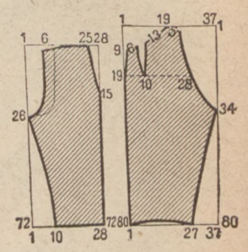
N. 7. Wymiar kroju kamaszy myśliwskich r. 18.

N. 7 i 18. Kamasze myśliwskie.

Podług formy dopasowanej podług ryc. 7 i wymierzonej na nodze można uszyć ciepłe kamasze podróżne lub myśliwskie, te ostatnie muszą być z nieprzemakalnego materyału prócz podszewki z szyrtyngu podłożone sztywną klejonką. Sznurowanie dane z boku cienkim rzemykiem, przeciąganym przez metalowe kółka, u dołu przyszyte paski skórzane i sprzączki do zapinania.

N. 8 i 17. Spodnie krótkie myśliwskie.

Ryc. 17 przedstawia spodnie myśliwskie mezkie z paskami zapiętemi na sprzączkę poniżej kolan, odpowiednie do butów z wysokiemi cholewami; wymiar kroju daliśmy na ryc. 8. Staranne wykończenie wymaga dużej wprawy.



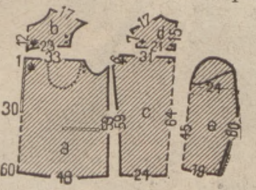
N. 8. yr ia , kroju krótkich spodni myśliwskich ryc. 17.

N. 9—10 i 15. Bluza męzka myśliwska.

Na bluzę taką trzeba dobierać materyały nie niszczące się od zmian powietrza; podszewkę daje się tylko pod karczek i rękawy, zaś kołnierz stojący 5 cent. i pas 6 cent. szeroki, wymagają podłożenia sztywnej klejonki. Na wielkie kieszenie boczne trzeba od lewej strony podszyć odpowiednie kawałki materyału, z wierzchu zaś przecięcia przykryć klapkami; w górze na piersiach podszyte drugie kieszenie do których otwór dany przy karczku, lub tylko od spodu. Gruby zielony sznur otacza karczek; do zapinania bluzy, paska i mankietów służą duże guziki rogowe lub metalowe, z amblematami myśliwskiemi, lub łepkami zwierzęcemi.



N. 9—10. Bluza myśliwska męzka. Patrz r. 15.



N. 15. Wymiar kroju bluzy ryc. 9—10.



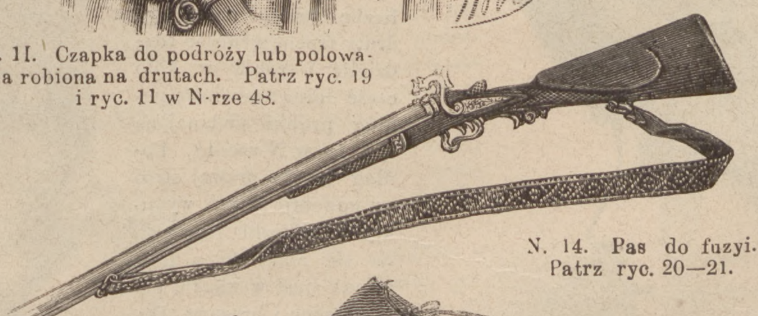
N. 11. Czapka do podróży lub polowania robiona na drutach. Patrz ryc. 19 i ryc. 11 w N-rze 48.



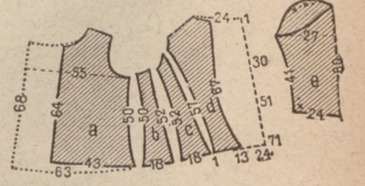
N. 5—6. Kaftanik negliżowy. Krój patrz ryc. 16.



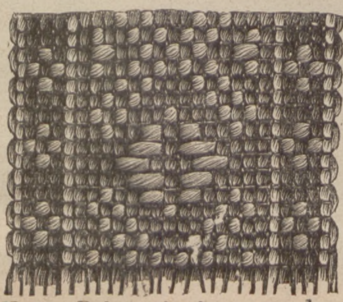
N. 12—13. Rękawiczki męzkie robione na drutach.



N. 14. Pas do fuzyi. Patrz ryc. 20—21.



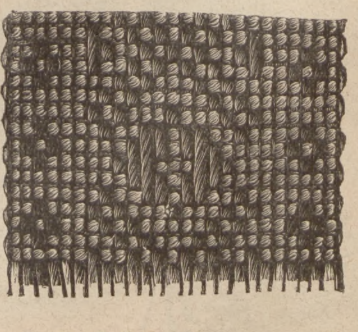
N. 16. Wskazanie kroju kaftanika ryc. 5—6.



N. 20. Robota tkacka na pas do broni, strona prawa. Patrz ryciny 14 i 21.



N. 17. Spodnie krótkie myśliwskie. Patrz ryc. 8.
N. 18. Kamasze myśliwskie. Patrz ryc. 7.
N. 19. Czapka robiona na drut. Patrz r. 11 w dzisiejszym i r. 11 w N. 48.



N. 21 Robota tkacka na pas do broni: strona lewa. Patrz r. 20.



N. 22. Suknia z aksamitną spódnicą. Patrz ryc. 48—49 i ryc. 13 w N-rze 48.

N. 23. Suknia z bluzką dla młodej panienki. Patrz ryc. 26.

N. 11 i 19 Kaptur do podróży lub polowania. Robota na drutach. Patrz ryc. 11 w N-rze 48.

Materyał: wełna brązowa, włóczka czarna angielska; druty dwojakiej grubości. Skrócenia: o. gł. — oczko gładkie; kr.—kręte; przyb. — przybrać to znaczy zarzucić nitkę na drut a w następnem obrobieniu przerobić jak oczko.

Na ryc. 11 i 19 przedstawiamy bardzo praktyczny i dogodny kaptur męzki, którego wykon. można powiewierzyć nawet małej panience, a któren dla dzieci mieszkających na wsi stanowić będzie bardzo odpowiedni podarunek na gwiazdkę dla ojca lub brata. Rycina 11 przedstawia kaptur z obłożeniem na dół spuszczonem i zasłaniającym uszy i szyję, a na ryc. 19 przez odwinięcie obłożenia w górę z kaptura robi się czapka. Robotę zaczyna się od części przykrywającej głowę na o. 210, i robi tam i napowrot znanym ściegiem patentowym, w którym obrobienie tam i napowrót liczy się za jeden rząd. W pierwszem od początku obrobieniu ciągle 1 o. gładko, 1 przybrać 1 zdjąć na drut nieprzerabiając; w obrobieniach następnych zawsze nitkę zarzuconą na drut czyli o. przybrane przerobić gładko razem z o. zdjętem, zarzucić nitkę na drut i zdjąć o. następujące. Po obrobieniu cztery razy wełną brązową, obrobić cztery razy włóczką czarną, 120 razy wełną brązową, i znów 4 razy czarną. Teraz robota gładko położona powinna mieć 116 cent. szerokości a 16 wysokości; z tego 47 o. środkowych trzeba zakończyć na otwór koło twarzy, a pozostałe z obydwóch stron o. obrobić 4 razy tam i napowrót. Potem zakończone w środku o. na nowo dodać i całą liczbę równo na cztery druty trochę grubsze rozdzielić i robić w koło część dolną deseniową podług próbki podanej na ryc. 11 w N-rze 48. Podług niej z prawej strony powstaje deseń wypukły z włóczki brązowej na tle czarnem, a lewa strona jest w wązkie paski czarne i brązowe. Deseń zacząć jednem obrobieniem gładkiem brązowem i 3-ma obrobieniami krętemi, dalej włóczką czarną obrobić 5 razy gładko, przyczem w pierwszem obrobieniu, ciągle co 6 o. trzeba 2 o. wziąć na drut bez przerabiania, a nitkę roboczą od spodu przeprowadzić, co powtarza się i w czterech dalszych obrobieniach. Wziąć napowrót włóczkę brązową i w pierwszem gładkiem obrobieniu, przerobić także oczka zatrzymane na drucie, dalsze 3 obrobienia kręto. Powtarzać od gwiazdki, przyczem zatrzymywać na drucie 2 środkowe z 6 o. ażeby deseń się mijał. Na modelu 93 obrobienia w szlaku, wynosiły 15 cent. szerokości, przyczem trzeba jednak zwracać uwagę na trochę ciaśniejszą albo luźniejszą robotę. Nakoniec górny brzeg czapki trzeba zeszyć nieznacznie z lewej strony, przyczem zaokrągla się trochę rogi.

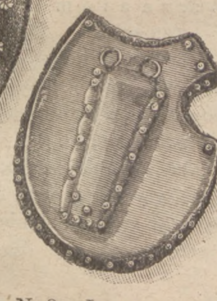


N. 27. Sukienka zdobna wyszyciem z sutaszu. Patrz ryc. 22.

N. 28. Ubranie dla chłopczyka.



N. 29—30. Tarcza jako ornament do kwiatów. Patrz ryc. 31.



N. 31. Lewa strona tarczy do kwiatów.

N. 12—13. Rękawiczki mezkie robione na drutach.

Odpowiednie na dnie zimowe, do drogi lub idąc na polowanie, odrobione są z ciemno brązowej włóczki, lub z włóczki w dwóch cieniach; ciemna rękawiczka jest bez żadnego wyszycia z wierzchu, w jaśniejsze paski cieniowane otaczające rękę w około zastępują wyszycie.



N. 24. Sukienka z vêtement plisowanem, dla dziewczynki.

N. 25. Sukienka z przemarszczeniem ozdobnem (smock) dła dziewczynki.

N. 26. Suknia z bluzką dla młodej panienki. Patrz ryc. 23.

N. 14. Fas do fuzyi. Patrz ryc. 20 — 21.

Rycina 14 przedstawia pas robotą tkacką na warsztaciku ręcznym, podszyty skórą, próbkę roboty dają ryciny 20 i 21 z prawej i lewej strony. Robotę tkacką mało u nas rozdowszechnioną, zastąpić można robotą krzyżową lub haftem na suknie.

N. 22 i 48—49. Suknia z aksamitną spódnicą. Patrz ryc. 13 w N-rze 48.

Suknia wizytowa przedstawiona na ryc. 22 ma spódnicę gładką aksamitną koloru heliotropu a sutą draperyę z jedwabnego repsu tegoż koloru. Rycina 48 daje wymiar brytów draperyi: *a* oznaeza bryt przedni z którym w jednym ciągu (jak to wskazuje ryc. 22) kraje się lewy bryt boczny; linia kropkowana oznacza środek przodu, cienkie linie proste znaczą kilkakrotne przemarszczenie górnego brzega. Podług krzyżyków i kropek zbiera się fałdy i układa podpięcie nakształt rozety. Prawy bryt boczny sfałdowany à panier podług ryc. 49, kraje się podług miar wypisanych pod literą *b*; złożywszy fałdy brzeg dolny bryta gwiazdką do gwiazdki składa się do góry. Upięcie tylne wymaga dwóch brytów przykrojonych podług *c* i sfałdowanych podług ryc. 49. Na przodach aksamitnego stanika z krótką baskiną dana kamizelka repsowa, ozdobiona trzema figurami stopniowej wielkości, wyszytemi perełkami białemi stalowemi, płaskiemi kółkami z konchy perłowej i świecącym sznureczkiem lila. Połowę środkowej figury tylko bez frendzli z perełek daje w naturalnej wielkości rycina 13 w N. 48. Brzegi kamizelki zachodzą pod części fałdowane z repsowej materyi 18 c. szerokie, złączone w pasie kokardą z szerokiej wstążki. Kołnierz i mankiety aksamitne zdobne kokardkami.

N. 23 i 26. Suknia z bluzką dla młodej panienki.

Ryc. 23 przedstawia suknię z niebieskiej *voile* z kołnierzem, mankietami i paskiem zdobnym kolorowym haftem, zaś na r. 26 widzimy tą samą formą odrobioną suknię z materyału ponsowego w białe paski. przybraną gładką materyą. Spódnica plisowana w szerokie fałdy, ma z przodu fartuch a z tyłu upięcie z długiego prostego bryta, którego poprzeczne brze-



N. 32—33. Kapelusz „empire".



N. 34—35. Kamizelka chusteczkowa. Uczesanie w pukle.

N. 40—41. Kamizelka koronkowa. Patrz ryc. 27 w N-rze 48. Uczesanie w kokardę.

N. 36—37. Stanik z krezą plisowaną i uczesanie w pukle. Patrz ryc. 35.

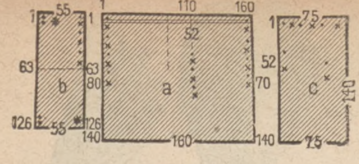
N. 42—43. Suknia zdobna wyszyciem z sutaszu. Patrz ryc. 54.

N. 38—39. Stanik krótki kaftanikowy. Uczesanie w kokardę. Patrz ryc. 41.

N. 44—45. Ubranie wizytowe dla starszej osoby i wachlarz.

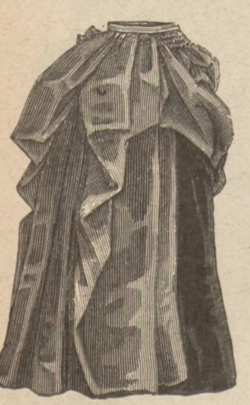


N. 46—47. Ubranko dla osoby starszej. Patrz ryc. 10 w N. 48.



N. 48. Wymiar brytkw draperyi do ryc. 49 i 22.

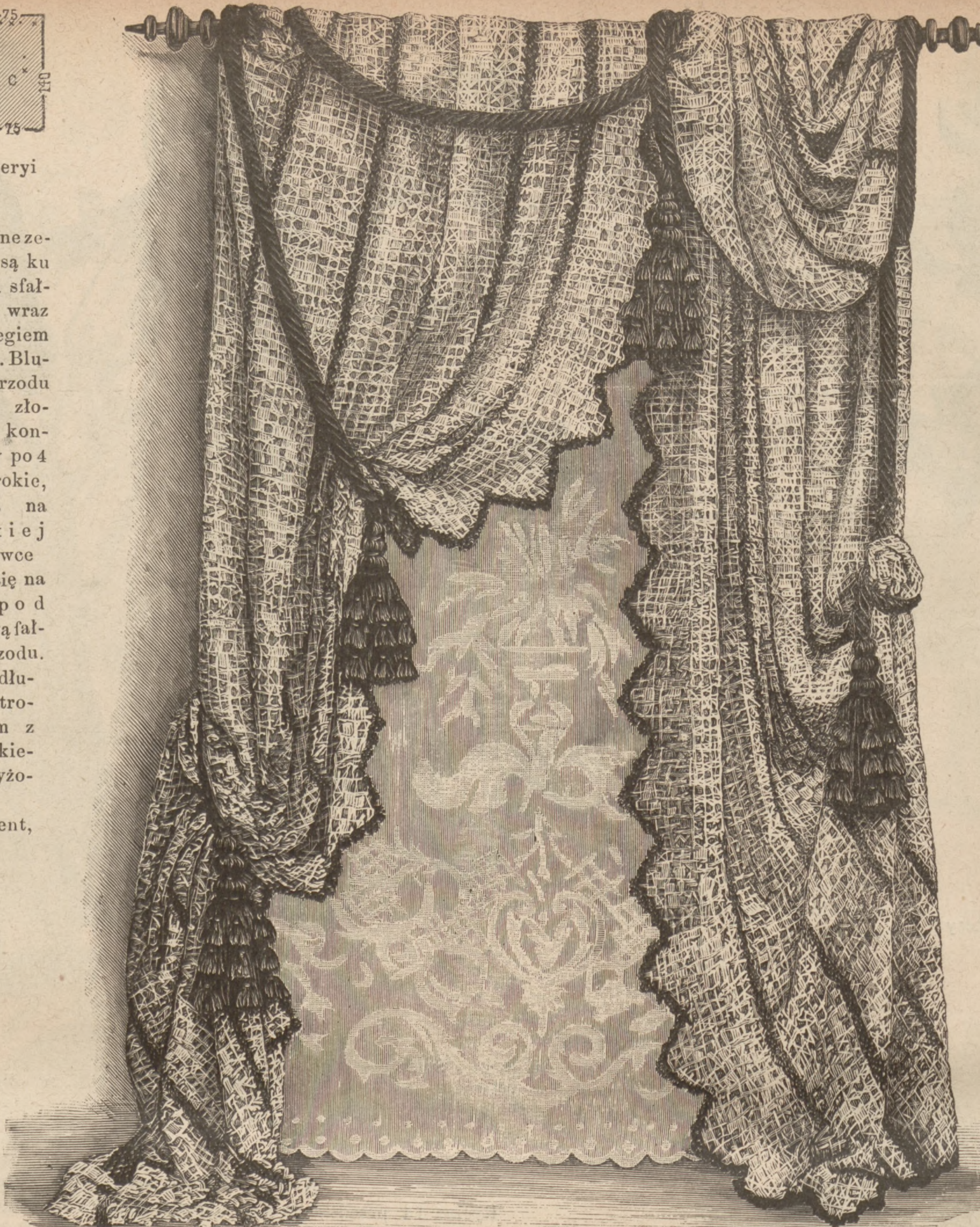
gi boczne zebrane są ku górze i sfałdowane wraz z brzegiem górnym. Bluza z przodu i z tyłu złożona w kontrafałdy po 4 c. szerokie, uszyta na gładkiej podszewce zapina się na guziki pod środkową fałdą z przodu. Szeroki kołnierz marynarski z podłużnym wykrojem, dopełnionym plastronem, z jednej strony przyszytym z drugiej przypiętym na haftki; mankiety 10 cent. szerokie, pasek skrzyżowany z przodu, 4 cent. szeroki.



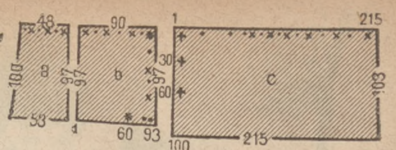
N. 49. Spódnica do r. 22. Patrz ryc. 48.

N. 24. Sukieneczka z vêtement, dla małej panienki.

Odpowiednia na lekcye tańca, może być odrobiona z taniego lub wytwornego materyału; model był z blado niebieskiej krepy wełnianej i ciemniejszej materyi. Vêtement z przodu bardzo długie, z tyłu skrócone do długości zwykłej baskiny jest całe zaplisowane w drobne fałdki, w pasie i pod szyją przewle-



N. 52. Firanki robotą szydełkową. Patrz ryc. 59—61.



N. 50. Wymiar brytów draperyi do ryc. 1 i 3 w N-rze 48.

czone i przymarszczone na niebieskie repsowe wstążeczki związane z przodu w sute pukle. Spódniczka ciemniejsza jedwabna zaplisowana w szerokie fałdy; z tyłu szarfa jedwabna.



N. 51. Plecy do r. 2 w N-rze 48.

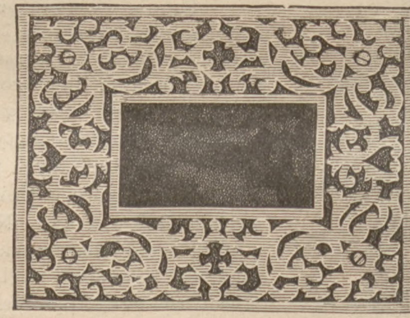
N. 25. Sukieneczka z ozdobnem przemarszczeniem (smock).

Uszyta z kolorowej *voile* formą bluzy z karczkiem, zapina się niewidocznie z tyłu; 10 cent. szeroka biała koronka zakończa brzeg dolny podszyty plisowaną falbanką i otacza wykrój szyi odwinięta na karczek. Przemarszczenie zastępujące pasek i mankiet 8 cent. szeroki, ozdobione jest z wierzchu wyszyciem jedwabnem (smock) które już dawniej opisywaliśmy w Tygodniku.

(D. n.)



N. 53. Suknia strojna wizytowa z koronkową spódnicą.



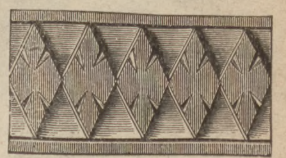
N. 55. Ramka do tabliczki z nazwiskiem. Patrz ryc. 15 w N. 48.



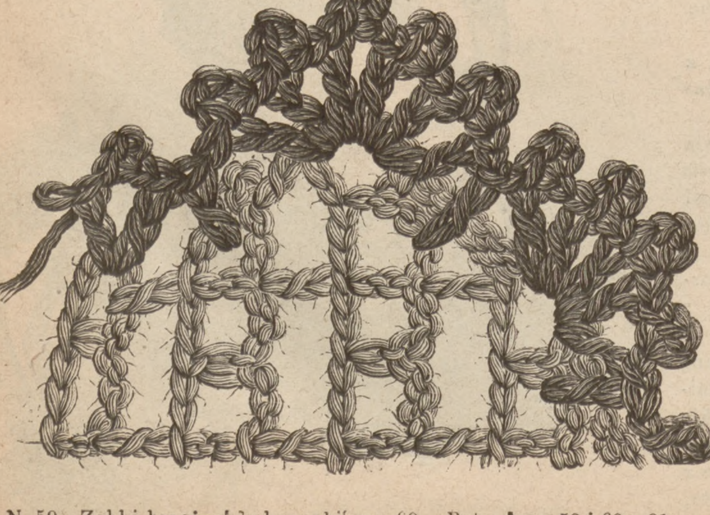
N. 54. Suknia wyszyta sutaszem. Patrz ryc. 42.



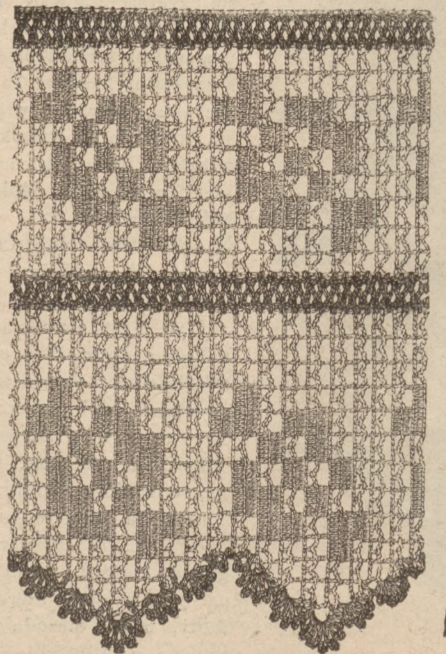
N. 56. Łokieć wyrzynany ręcznie. Patrz ryc. 57—58.



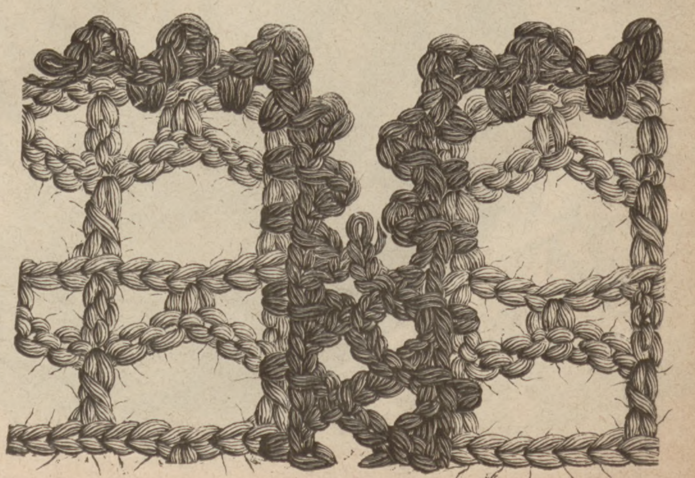
N. 58. Szlaczek do łokcia r. 56. Rzeźba na drzewie.



N. 59. Ząbki brzeżne do koronki ryc. 60. Patrz ryc. 52 i 60—61.



N. 60. Pas wszywki i koronka brzeżna złączone łańcuszkiem. Patrz ryc 61.



N. 61. Łączenie pasów szydełkowych łańcuszkiem za pikoty. (Wielkość naturalna.) Patrz ryc. 52 i 59—61.